

Bogdan Knop

CZY POLACY SA POLAKAMI?

Topos (przyjęty do druku)

W języku rosyjskim słowo Rosjanin (*Россиянин*), o czym wie poza Rosją niewielu, oznacza mieszkańca Rosji, a nie etnicznego Rosjanina, bo ten określany jest jako *русский*. Pozwala to temu wielonarodowemu państwu podtrzymywać tożsamość państwową właśnie, bez zamazywania tożsamości etnicznej. Kto dziś wie, że określenie Polak w wielonarodowej I Rzeczypospolitej oznaczało tylko jej mieszkańca, bo Polakami byli i Litwini, i Koroniarze, i Rusini, i Żydzi, i wszyscy inni mieszkańcy Rzeczypospolitej. Stąd słynna wypowiedź Kuklinowskiego w Potopie brzmi: „dwóch jest (z przeproszeniem waszmości) prawdziwych żołnierzy w tej Rzeczypospolitej: ja w Koronie, a Kmicic na Litwie...” Żadnego tu Polaka nie ma, a precyzyjniej – są tylko Polacy, bo Polakami byli i Kuklinowski, i Kmicic, więc rozróżnienia w ten sposób zrobić by się nie dało. Upadek I Rzeczypospolitej, lata zaborów, wojen, kształtowania się nowoczesnych narodów, a potem przetaczanie granic państwa uczyniły Rzeczypospolitą krajem jednego właściwie tylko narodu – Polaków, a te resztki Ukraińców, Białorusinów, Litwinów czy Niemców sprowadziły do pojęcia mniejszości narodowej i obywateli Rzeczypospolitej. Czasem jednak w duszy polskiej, w polskich genach odbija się echem nasza dawna wielonarodowa tożsamość. Te echa dawne, owe tony usłyszałem w pewnej książce.

„Gdyby Polacy nie byli Polakami” – zbiór reportaży i peror Wojciecha Pestki, bo tej książce mowa, swój tytuł wziął od szyderczej filipiki carskiego historyka Berga, zacytowanego w kończącym książkę reportażu o Muzeum w Rapperswilu. *Gdyby Polacy nie byli Polakami (...)* już by się *Polska dawno wyzwoliła* drwił autor „Zapisków o polskich spiskach i powstaniach”. Być może, kto to wie ... Ale na moje oko nie ten sens tytułu miał autor na myśli przewrotnie go przytaczając.

Książkę otwiera „Rzeka przeznaczenia” – reportaż z Łotwy o Wiktorze Bagińskim Polaku z Windawy, a kończy wspomniany tekst o Muzeum Polskim w Rapperswilu. Krajobraz zbioru, wbrew podtytułowi, sięga daleko szerzej niż Kresy, ale mentalnie jest w nich mocno osadzony. Łotwa, Litwa, Białoruś, Rosja, Ukraina są tu z jednej strony pretekstem, a z drugiej celem rozważań o polskości.

Te rozważania są jednak dalekie od natrętnego epatowania martyrologią, czy prostackiej pedagogiki historycznej zwanej czasem polityką historyczną (nie wiadomo czy w opozycji czy ze wstydu przed prawdą). Pestka ma tę umiejętność zachowywania umiaru i nieepatowania swą osobą, a wysuwania na plan pierwszy bohaterów swych rozmów. To pozwala mu na wyeksponowanie wątków zdawałoby się drugorzędnych, a dopiero w odpowiednim oświetleniu dających możliwość by dostrzec ich wagę. Już w pierwszym reportażu mamy historyczne wątki o związkach części ziem Łotwy z Polską, a jednocześnie obraz sowietyzacji potomków tamtejszych Polaków, którzy uważają się za Polaków, a tkwią po uszy w rosyjskiej popkulturze i sowieckiej mentalności. Zaraz potem odnajdziemy znakomity reportaż o łotewskim poecie Knutsie Skujenieksie – więźniu sowieckich łagrów i wielkim przyjacielu Polski, ze szczególnym uwzględnieniem Wrocławia.

Pierwsze reportaże i perora krążą wokół Łotwy (i Litwy z powodu Miłosza). Następne skręcają w kierunku Ukrainy, a dokładnie w kierunku wojny, którą Ukraińcy toczą z niewidzialnym, choć znanym wrogiem. I znów – jakbyśmy usłyszeli ton znajomy, czy to aby nie o Polsce? Nie, nie - to wschód Ukrainy, a może Polska - tylko w innych realiach? A gdybyśmy nie byli Polakami, tylko Ukraińcami, to co wtedy? Tego pytania autor nie zadaje, ale czy nie wystrzeli ono niczym strzelba w trzecim akcie, jak u Czechowa? W tej części warto zwrócić uwagę na proroczą perorę Jurija Andruchowycza z 2012 roku, zakończoną apelem o dwa lata późniejszym, gdy świat stanął na głowie, a Ukraina w ogniu. I na wspomnienie Wasyla Słapczuka o wojnie wcześniejszej o lat trzydzieści kilka – w Afganistanie.

Z Ukrainy łagodnie, bo poprzez reportaż o cerkwi ukraińskiej patriarchatu moskiewskiego, a następnie poprzez Dęblin, przenosimy się do Rosji, gdzie napotkamy dwie perory – Wiktora Jerofiejewa, którego polskiemu czytelnikowi przedstawiać nie trzeba i Władimira Kantora, którego przedstawić warto, bo umysłowość to nietuzinkowa – filozof, myśliciel z gatunku tych, których Rosja zawsze miała i najczęściej spychała na margines – jak Czaadajewa, Bułgakowa, czy choćby Gogola. Dla żadnego z nich Polska nie jest odniesieniem, ale jest paradoksalnie ważna, tak jakby spór polsko – rosyjski o wartości, zaczęty jeszcze w epoce Iwana IV i Zygmunta Augusta, trwał sobie w najlepsze.

Wreszcie Białoruś. Reprezentowana reportażem i perorą, i to jakimi! Reportaż przedstawia postać Uładzimira Niaklajeua – niedoszłego kandydata na prezydenta Białorusi i kandydata (niespełnionego) do Nagrody Nobla. Czytając słowa o wynarodowieniu, o represjach, o dylematach Wschód czy Zachód przypomniałem sobie słowa Mickiewicza pochodzącego przecież z terenu obecnej Białorusi: „Że słyszałbym głos z Litwy”, tyle że ja usłyszałem głos z minionej Polski – wynaradawianej, represjonowanej, pełnej dylematów.

Pozwolę sobie tutaj na małą dygresję. Niaklajeua poznałem dzięki dwóm osobom: autorowi omawianej książki i białoruskiemu archiwście, a mojemu przyjacielowi – Jazepowi Januszkiewiczowi. Jazep poszukiwał materiałów o kacie Polski, ale i Litwy – Murawiewie „Wieszatielu”. Podarowałem mu mały tomik – biografię wydaną jeszcze w latach 80. i dołożyłem „Syzyfowe prace” Żeromskiego, bo ten los białoruski jakoś mi się wydał zrymowany z losem polskim końca XIX wieku. Byłem potem w Warszawie, w Domu Literatury na promocji opracowanego przez Jazepa Januszkiewicza pamiątkowego tomu o Powstaniu Styczniowym na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego zatytułowanego „Tyłem do szubienicy”. I pomyślałem, że tak jak ja we współczesnej Warszawie, musiał się czuć dwieście lat wcześniej Francuz w Paryżu na wieczorze zorganizowanym przez polską emigrację. Otóż oprócz mnie i paru jeszcze osób zaproszonych z Polski, salę wypełniała elita kultury białoruskiej! Wolna Białoruś spotykała się w Warszawie: czytała wiersze, dyskutowała, wspominała (wtedy też dowiedziałem się, że Wilno bardziej wiąże emocje białoruskie niż polskie).

Z trzech reportaży w części końcowej ostatni już został wspomniany z racji jego tytułu, od którego tytuł wzięła cała książka. Dwa pozostałe to polskie biografie z Kresami w tle. Pierwsza pokazuje los polski w ciągu stu lat poprzez opowieść jednego człowieka – zaczyna się w Iwanogrodzie, a kończy w Dęblinie, przy czym są to dwie nazwy tego samego miasta. Druga tenże los polski przekazuje przez dzieje jednej rodziny, zaczyna się w Czeknie w Polsce i kończy w Sandomierzu również w Polsce, z tym, że dziś Czekno znajduje się na Ukrainie, choć nigdzie się nie ruszało.

Zatem jest to książka o Kresach, uwikłaniu i zaplątaniu, o „przeklętych problemach”, ale opowiedziana tak, jak chyba nikt do tej pory o tym nie opowiadał. Z empatią, ale bez zbędnych sentymentów. Jednak chyba największe wrażenie robi wielogłos – ten sam świat widziany oczami Łotysza, Ukraińca, Białorusina i Polaka. Tak jakby siedzieli przy jednym stole i debatowali o współczesności, a Wojciech Pestka przybrał rolę moderatora – nie arbitra i nie besserwissera, ale skromnego słuchacza, który czasem podrzuci jakiś temat do dyskusji. Jak choćby ten – gdyby Polacy nie byli Polakami ...

A są?